

## **Komisarz Parku Niagara**

Autor tekstu: **Witold Stanisław Michałowski**

**N**a mapie kontynentu północnoamerykańskiego półwysep ujęty w kleszcze jeziora Huron, jeziora Erie i jeziora Ontario, zlokalizować łatwo. Leży prawie na tym samym południku co wielka oceaniczna zatoka Hudsona i jej odnoga zwana James Bay. Wiedząc, że granica pomiędzy Kanadą a Stanami Zjednoczonymi przebiega wzdłuż drogi wodnej Św. Wawrzyńca, środkiem nurtu jezior — widać, że najkrótsza droga z wnętrza kontynentu, ze stanu Michigan i z Detroit do portów wschodniego wybrzeża prowadzi przez półwysep Ontario. Konkurencja magistrali kolejowej nazwanej Wielką Linią Zachodnią z Detroit do Niagara Falls przez London i Hamilton była wściekle skuteczna. Przechwytywała transport większości towarów nie tylko z gwałtownie rozwijającego się stanu Michigan, ale również ładunki parowców kursujących po jeziorach. Towarzystwo kolejowe, które rozpoczęło budowę tej linii z Goderich położonego nad jeziorem Huron do Fort Erie, zbankrutowało. Zabrakło mu środków na przerzucenie mostu przez rzekę Niagara na stronę amerykańską do Buffalo. Dało to szansę Dyrektorom Grand Trunk Railway rzucenia na kolana rywali z Wielkiej Kolei Zachodniej. Zostaje zawiązana International Bridge Company. Kongres w Waszyngtonie podejmuje odpowiednią uchwałę Wyrażając zgodę ministrowie Jej Królewskiej Mości w Londynie, bo mimo, że od 1867 roku Dominion of Canada jest samodzielnym państwem, to w zasadniczych sprawach decyzje długo jeszcze będą zapadały za oceanem. Wstępne szacunki kosztów przedsięwzięcia nie wyglądają zachęcająco. Krzyżują się sprzeczne opinie, jakie ostatecznie należy przyjąć wersje technicznych rozwiązań mostowej konstrukcji.

Pierwsza zwarta grupa polskich osadników przybyła do Ontario z Kaszub w 1858 roku. Osiedleńcom, zapisanym w księgach jako Prusacy, nadano działki ubogiej kamienistej ziemi wzdłuż traktu Opeongo-Ottawa na krańcach ówczesnego cywilizowanego świata. Pozostała po nich nazwa Wilno jednej z osad i garstka polskich nazwisk na kamiennych nagrobkach starych cmentarzy. Jadąc szosą nr 60 do parku Narodowego Algonquin, częściej też niż gdzie indziej można dostrzec za kierownicą mijanych pojazdów i w barach przy stacjach benzynowych płowowłose, jasnookie, dziwnie swojskie fizjonomie.

Kurelek wybitny kanadyjski malarz ukraińskiego pochodzenia spędził w Wilnie wiele miesięcy. Namalowany tam cykl zatytułował *The Polish Canadians* Artysta opatrywał komentarzami swoje dzieła sam. Pierwsze nosi tytuł *Arystokratyczny uciekinier*. Jasne, pastelowe barwy. Stylizowana na naiwną manierę. Na brzegu płynącej wody dwa drzewa. Złamana uschła sosna i drugie, owocujące, Pokrywa je bujne listowie. Symbolizują życie emigranta w starym kraju i w nowej ojczyźnie. Zielona murawa dominująca w tle obrazu przecięta jest ścieżkami układającymi się w zarys angielskiej flagi. W oddali widać koleje, kanały żeglowne, mosty i szeregi żołnierzy. Pomiędzy drzewami stoi wyprostowany stary siwy pan, w eleganckim garniturze z gwiazdą orderu św. Michała na piersi. Na zrolowanym arkuszu papieru, który trzyma w ręku można dostrzec herb. Polski szlachecki herb Junosza.

Niagara, wypływając z jeziora Erie, po zaledwie 56 kilometrach wpada do położonego o 96 metrów niżej jeziora Ontario. Niesie z sobą średnio 5800 m<sup>3</sup> wody na sekundę, ale zanotowano już i dwukrotnie większy przepływ. Potencjał hydroenergetyczny rzeki wynosi 5 milionów koni mechanicznych (3,73 miliona kW). Nigdy dotąd jeszcze człowiek nie przeciwstawiał się takiej potędze żywiołu. Usiłowano go tylko ominąć, obłaskawić. Wielka Linia Zachodnia przekraczała rzekę po wiszącym moście, w miejscu gdzie prąd jej już znacznie tracił na gwałtowności. Postawienie filarów opartych o dno rzeki w drugiej połowie XIX wieku uznano za technicznie niewykonalne. W krytycznej sytuacji dyrektorzy Wielkiej Linii Centralnej zwracają się do człowieka, który ich zdaniem, jako jedyny, będzie w stanie podjąć wyzwanie. Dobiegający sześćdziesiątki właściciel firmy *Gzowski and Co.* ma już za sobą realizację wielu trudnych zadań inżynierskich z dziedziny kolejnictwa i budownictwa hydrotechnicznego. Jest człowiekiem zamożnym. Ma ugruntowaną pozycję zawodową i społeczną, swoje zainteresowania, hobby, szeroki krąg znajomych i przyjaciół wśród kanadyjskiej elity politycznej i wielkiego biznesu. Kierował firmą, która po wycofaniu się z budowy linii kolejowych w końcu lat sześćdziesiątych, podejmowała się zadań — jak byśmy dziś określili — głównie z zakresu consultingu. Był członkiem komisji rządowej badającej przydatność systemu

kanałów i dróg wodnych prowincji Ontario, Quebec, Nowy Brunzwik i Nowa Szkocja Dokonał przeglądu trasy nawigacyjnej rzeki Św. Wawrzyńca i jeziora Św. Piotra. Dzięki jego zaleceniom pogłębiono i poszerzono tor wodny, po którym statki oceaniczne mogły dobić bez przeszkód do nabrzeży montrealskiego portu. Przyjęcie propozycji dyrektorów Wielkiej Linii Centralnej oznaczało rzucenie wszystkiego, dorobku całego życia na jedną kartę. W przypadku niepowodzenia — wydanie własnego nazwiska na łup nienawidzących go, choćby tylko za dotychczasowe sukcesy i powodzenia, konkurentów. Zaryzykował. Podpisał kontrakt: *Gzowski and Co.* będzie budowała International Bridge. Po długich deliberacjach, wizjach lokalnych, konsultacjach z fachowcami w Ameryce Północnej, ostatecznie do realizacji przyjęto projekt mostu kratownicowego na kamiennych filarach. W przygotowaniu dokumentacji wykonawczej brał udział były główny inżynier Wielkiej Linii Centralnej E.P. Hannaford. Zdając sobie sprawę z ciężkiej na nim odpowiedzialności, Gzowski od samego początku obejmuje kierownictwo. Sprawuje je żelazną ręką. Do pomocy dobiera sztab doskonałych praktyków inżynierskiego rzemiosła i opłaca ich dobrze. Pomaga mu 23 letni syn Casimir. Prace przygotowawcze postępują planowo. W zakładach Phoenix Works w Pensylwanii zamówiono konstrukcje kratownic Pratta z kutego żelaza. Na kanadyjski brzeg zwożony jest kamień i kruszywo. Wczesną wiosną 1870 roku roboty ruszają. W miarę jak prace postępują, trudności piętrzą się lawinowo, giną ludzie. Rozhukany nurt raz po raz pochłania nowe ofiary. Tonie sprzęt. Spławiane rzeką tratwy z drewnianych bali miażdżą kesony, w których pracują nurkowie. Niewielu by wytrzymało nieustanny stres i napięcie towarzyszące kierowaniu podobnym przedsięwzięciem, nie dysponując komputerowymi bankami danych do obliczeń mechaniki gruntów, analizy wytrzymałości poszczególnych elementów konstrukcji, wypadkowej siły naporu mas topniejących lodów. Dzięki uporowi, inteligencji, fachowości i bezwzględności tego, który kierował pracami, ostatecznie wszystkie przeciwności pokonano. Niagara została ujarzmiona. Pierwszy pociąg przez International Bridge z Fort Erie do Black Rock przejechał 27 października 1873 roku. (Budowa Trasy Łazienkowskiej w Warszawie trwała prawie tyle samo. Natychmiast jednak po oddaniu jej do eksploatacji należało przeprowadzić generalny remont.) Kamienne filary mostu opierają się skutecznie działaniu czasu, choć położoną na nich stalową konstrukcję zdołano już parokrotnie wymienić. Nad nimi przechodzi dziś około 70 procent obrotu towarowego pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Kanadą. Lawina pochwał spłynęła na naszego rodaka po zakończeniu budowy jednego z najwybitniejszych dzieł sztuki inżynierskiej XIX wieku.

Casimir Gzowski, też zadbał o odpowiednie wyeksponowanie atutów jakich dostarczyło mu pomyślnie zakończenie trudnego przedsięwzięcia. Opisał całość przygotowań oraz poszczególne etapy budowy, nie unikając fachowej terminologii, danych i szczegółów dramatycznych wydarzeń. Doskonała, klarowna angielszczyzna, jasność technicznego sprawozdania, perfekcja rysunków, oraz czerwona, safianowa skóra okładki robiła odpowiednie wrażenie. Opracowanie zadedykował generalnemu gubernatorowi Kanady Sir Frederichowi Dufferinowi. Liczyło 65 stron druku, 21 sztychów i rysunków oraz fotografie - absolutną nowość w tych czasach. Kopie trafiły na biurka najbardziej wpływowych osobistości w Brytyjskim Imperium. Czytano je z zainteresowaniem. Po zakończeniu budowy Gzowski powoli wycofuje się z czynnego udziału w interesach. Pogoń za dolarem nigdy nie była dla niego celem samym w sobie. Esteta, znawca i mecenas sztuk pięknych, miłośnik dobrego malarstwa i śpiewu nie mógł pozostawać obojętnym na to, co się działo wokół cudu natury jakim były wodospady Niagary.

Od czasu gdy jezuita ojciec Hennepin płynąc przez ziemię Indian plemienia Seneca rzeką, która na dostępnej mu mapie nosiła nazwę Onguiaahra, ujrzał wodospady, minęły przeszło dwa wieki. Biali ludzie, którzy przyszli po nim, nie mieli czasu na kontemplację dziwów przyrody. Mordowali pierwotnych mieszkańców tych ziem, mordowali się nawzajem, wyrąbawali puszcze, wybijali dziką zwierzynę. Nieśli pochodnię cywilizacji. U progu XIX wieku rejon pogranicza amerykańsko-kanadyjskiego wzdłuż rzeki Niagara, wąski przesmyk pomiędzy dwoma wielkimi jeziorami był już gęsto zaludniony. Gwałtownie rozwijał się przemysł. Powstały nowe fabryki, zakłady przemysłowe, osiedla. Podejmowano próby wykorzystania energii rozpedzonych mas wody do napędu tartacznych pił, młynów, młotów. Na wysokiej, urwistej skarpie po kanadyjskiej stronie, z której jest znacznie lepszy i piękniejszy widok na wodospady, najróżniejsi cwaniacy i wydrwigrosze ustawili „na dziko” setki byle jak skleconych bud i szop ogradzając je drewnianymi płotami. Za prawo dobrego widoku należało płacić, za serwowane napoje i za panienki, które je serwowały, również. Zarówno w Kanadzie jak i w Stanach Zjednoczonych powoli dojrzewała idea utworzenia Parku Narodowego Wodospadów

Niagary. Latami wlokło się jednak podejmowanie odpowiednich uchwał przez poszczególne szczeble ciał administracyjnych, egzekwowanie ich wykonania trwało jeszcze dłużej. W niewygodnych, niepopularnych przedsięwzięciach, zdaniem elity władzy niepotrzebnie rozjątrających motłoch, społeczeństwo kapitalistyczne też czasem wykazuje ogólną niemożność.

W 1884 roku premier prowincji Ontario powołuje na przewodniczącego Niagara Falls Comision pułkownika Casimira Gzowskiego. Ten wie jak się wziąć do dzieła. Pod pozorem ćwiczeń kompania milicji oczyszcza teren. W ciągu jednego dnia znikły resztki niedawnej „zabudowy” zrzucone w toń Niagary. Rozbiegły się w popłochu panienki. Czerwoni z wściekłości właściciele zburzonych przybytków odgrążali się mocno. Pułkownik jednak wiedział co robi, kiedyś był prawnikiem. Projekt przyszłego parku sporządził osobiście. Ćwierć wieku wcześniej szczegółowo rozplanowywał rozmieszczenie drzew, krzewów, rabat róż i klombów wokół swojej rezydencji. W uznaniu wyjątkowych zasług przy utworzeniu Parku rząd prowincji Ontario, jeszcze za życia ufundował mu pomnik z brązu. Osadzona na cokole z czerwonego piaskowca około metrowej wysokości postać stanęła w północno-wschodnim rogu ogrodu kwiatowego. Ocieniała ją „wspaniale kwitnąca chińska magnolia i brzoza płacząca”.

W 1929 roku, w trakcie prowadzenia prac budowlanych, posąg przesunięto na inne miejsce. Przeszło pół wieku później po długich poszukiwaniach natrafiłem nań w bocznej niszy, na prawo od wejścia do komisariatu lokalnej policji.

W 2003 roku odwiedziło Niagara Park przeszło 20 milionów ludzi. Ogromnym powodzeniem cieszą się wystawy kwiatów. W każdym sezonie innych. Na szczegółowym planie założonego przez naszego rodaka ogrodu zaznaczono arboretum, klomby z peoniami, różami, irysami, parking i fontanna wody pitnej. Na inne informacje zabrakło miejsca. Żaden z zagadniętych przewodników, włącznie z tym, który podarował mi folder, nawet nie słyszał nazwiska Gzowski. Jesień życia nadeszła późno. Do końca był aktywny, zadziwiał energią, chłonnością umysłu, jasnością spojrzenia, gotowością poświęcenia swego czasu i uwagi celom publicznym. Żarliwy wyznawca kościoła prezbiteriańskiego, przeciwnik wystawnej pompy, kadzideł, świec i przepychu, przez dziesięciolecia był benefaktorem katedry św. Jakuba w Toronto. Brał udział w gwałtownych sporach religijnych jakie rozdzierały protestancką społeczność miasta wykazując zupełnie wyjątkową znajomość *Pisma Świętego*. Gdy spory ucichły, był jednym z fundatorów, przewodniczącym rady zarządzającej i pierwszym rektorem anglikańskiego seminarium teologicznego Wyckliffe College, z czasem połączonych z Uniwersytetem w Toronto. W refektarzu dawnego kolegium wisi do dziś jego portret. Oficerowie miejscowego garnizonu ufundowali w głównej nawie katedry imponującą, mosiężną tablicę. Stylizowane, gotyckie, pokryte emalią litery napisu utrwalają pamięć żołnierza, który przybył na tę ziemię jako „*Polish freedom fighter*”, a zakończył życie jako „*Aide de camp to Queen Victoria*”.Mając już osiemdziesiąt trzy lata Casimir Gzowski przyjmuje obowiązki wicegubernatora prowincji Ontario. Trzy razy większej od obecnej Polski.

Umiera w 24 sierpnia 1898 r. Parę miesięcy po powrocie z Europy. W ostatnich chwilach jest przy nim żona i jedyny pozostały przy życiu syn. Córki, wydane w młodym wieku za oficerów armii brytyjskiej, mieszkały w Anglii, Pogrzeb miał charakter ściśle prywatny. W żałobnym kondukcje, jechało tylko około 30 powozów. W ceremonii złożenia ciała do grobowca na St. James Cemetery uczestniczyli: wicegubernator i gubernator Ontario, Generalny Sędzia, Jego Ekscelencja, premier, właściciele linii żeglugowych i browarów. Dostojnicy imperium, przedstawiciele elity władzy, elity kapitału, elity businessu. Najbliżsi przyjaciele. Ludzie, z którymi razem budował Kanadę. Odszedł jeden z nich. Gazety wszystkich czterech prowincji Dominion of Canada zamieściły obszerne obituaria zmarłego podkreślając jego zasługi. Wkrótce po śmierci rodzinną rezydencję syn wystawił na licytację i sprzedał miastu Toronto za 65000 dolarów. Sterty niepotrzebnych nikomu papierów i książek, pisanych w niezrozumiałym języku padły pastwą płomieni. Tylko część ocalała i trafiła do archiwów. Po paru latach The Hali rozebrano, a na miejscu gdzie stał, utworzono Alexander Park. Młoda dziewczyna, pełniąca funkcje administratora dawno już zamkniętego „*St. James Cemetery and Crematorium*” przy 635 Parliament Street, na moją prośbę sporządziła wykaz spoczywających na tym cmentarzu członków rodziny Gzowskich. Obejmuje 15 osób. Dziewczyna jest nieco zaniepokojona widokiem aparatu fotograficznego. Nie chce, aby na łamy prasy trafiła informacja o tym, że parę dni temu banda narkomanów urządziła melinę we wnętrzu grobowca Gzowskich. Powyrzucane z rozbitych trumien kości, uprzątnięto. Peter Gzowski, którego zawiadomiono, bo leży tu również jego ojciec, prosił o dyskrecję. Więc ja chyba też zrozumieć, że tego rodzaju

*publicity* zaszkodzi dobremu imieniu instytucji, którą reprezentuje. Chowam aparat. Od bramy idziemy po czystych, wysypanych żwirem alejkach. Na nagrobnych pomnikach nie ma polskich nazwisk. To był cmentarz ludzi zamożnych. Miejsce wiecznego spoczynku Sir Casimir wybrał sobie sam. Nad głębokim, opadającym do rzeki Don jarem polecił zbudować ozdobiony dwoma egipskimi pylonami prosty grobowiec. Trudno w całej Kanadzie znaleźć miejsce, z którego widok bardziej by przypominał rozległy aż po horyzont, pofałdowany pejzaż jego rodzinnego Podola. Masywna kuta krata. Tu sprowadził prochy pierwszego, zmarłego jeszcze w dzieciństwie syna. Tu pochował następnych: Alberta Sobieskiego, Johna Władysława i wnuczkę nieznanego imienia. Tu spoczął. Ciężka, masywna bryła zwieńczona kamiennym parapetem nie ma żadnych ozdób, nazwisk, symboli. Nie ma nawet znaku krzyża. W centralnym miejscu ostał się tylko fragment herbowego kartusza.

Jurka znałem dawno. W bajecznych studenckich czasach spotykaliśmy się na górskich rajdach, całonocnych ogniskach, akademickich popijawach. Później wypłynął na rejs zahaczający o Kopenhagę. Zniknął z pokładu, choć fala go nie zmyła. Po kilkunastu latach w Toronto dostałem jego adres. Telefon. Głos w słuchawce znajomy i jakiś obcy: „*Hallo, Georges Corvin speaking*”. Jurek, Jurek! Długie milczenie. Słysząc ciężki, prawie automatyczny oddech. „Jurek!” „Yes.” Ciężko, chropowato, nienaturalnie. Tak. Kto mówi. Ach, Michał.”

Dla Georgesa Corvina byłem przybyszem z innej planety, z innego świata, z innego bytu. Starał się mówić możliwie najczystszy językiem ojców, ale widać, a raczej słysząc było wyraźnie, jak bardzo się starał, z jakim trudem przełupywał się przez skorupę anglosaskiego bytowania. Kiedy wypowiadał sakramentalne formuły zaproszenia, słysząc jednocześnie było, że jeszcze nie ukończywszy zdania zaczynał żałować dopiero co wypowiedzianych słów. Zdawałem sobie sprawę, że takie spotkanie może być dla nas obydwu trudne.

Rzut oka na plan pozwolił wyłowić prawie natychmiast pionową oś jakby przepoławiającą miasto na dwie części. Podstawa jej opiera się o jezioro Ontario i Lakę Shore Boulevard, a górą urywa na krawędzi mapy. Na południu, tam gdzie bierze początek przy nadbrzeżach pasażerskiego portu, przebija się pod estakadami Queen Elisabeth Way, a gdy ma już opuścić obszar papieru zadrukowany planem miasta, spleta się węzłowymi skrętami i transkanadyjską autostradą 401 i nie zmieniawszy pierwotnego kierunku nawet o pół stopnia, dąży na północ.

Dobrą decyzję podjął pierwszy gubernator Górnej Kanady John Gravers Simcoe (1752-1806) budując na brzegu wielkiego jeziora, z grubych drewnianych bali, fort York. Dziś jest omszałym, prastarym jak na północnoamerykańskie stosunki, reliktem z początków obecnie ponad dwumilionowego Toronto. Wykarczowany wśród pierwotnej puszczy trakt, najważniejszy w początkach XIX wieku lądowy szlak łączący fort York z przystanią nad jeziorem otwierał nowe dziewicze obszary dla białych kolonistów. Umożliwiał szybkie odskoczenie pod osłonę nieprzebytych puszczy, lub ściąganie rezerw w przypadku przewidywanej agresji południowych sąsiadów. Łączył i spajał obszary pogranicza z interiorem. Jego budową, kierował w latach czterdziestych XIX wieku inżynier Kazimierz Gzowski. Wytyczana w epoce konnych dorożek i omnibusów ulica jest wąska, obrośnięta starymi drzewami. Niska, parterowa a najwyżej dwupiętrowa zabudowa zaczyna się po minięciu kilkunastu przecznicy centrum. W miarę, jak lśniąca taflami kadmowego szkła wieżowce i prująca niebo iglica Canadian Tower coraz bardziej zostają z tyłu, zmienia charakter. Miętko poddaje się falowaniu terenu, otula zielonością parków i tonących w krzewach ludzkich siedzib. To Richmond Hills.

Trafienie pod wskazany adres nie kosztowało zbyt wiele trudu. Standardowa blaszana skrzynka pocztowa opatrzona numerem i nazwiskiem właściciela wpasowana w gęsty żywoplot. Na dźwięk dzwonka drzwi się uchylają i wytacza na próg masa ludzka odziana w rzymską tunikę z purpurowym szlakiem. Żalodne resztki szpakowatych, mocno przylizanych włosów otaczają łysą czaszkę. Kaskada podbródków ginie w fałdach tułowia spowitego powłóczytą szatą. Mimo woli szukam z tyłu, w głębi uchylonych drzwi, tego, z kim rozmawiałem trzy kwadransy wcześniej. Masa zmierza w moim kierunku, rozkłada ręce i w telewizyjnym uśmiechu odstania pełny, lśniący porcelanową bielą garnitur zębów. Jurek był szczupłym, żyłastym przystojniakiem, zapalonym żeglarzem, narciarzem, miłośnikiem wszelkich sportów. Niemożliwe, aby przez te dwadzieścia lat tak strasznie się zmienił. Jesteśmy prawie rówieśnikami. Może mieć najwyżej 45, 46 lat, na pewno nie więcej. Zmieszany, usiłując zatrzeć źle wrażenie, jakie musiał wywołać głupi wyraz mojego oblicza. Mister Corvin udał, że tego nie zauważył. Wymachuje radośnie rękami. Pokrzykując odwraca raz po raz głowę w kierunku wnętrza domu. *Monic come in! Monic come in! Monic come in!* Pani zostałem przedstawiony w living roomie. Rozmawialiśmy wyłącznie po angielsku i tylko po angielsku. Z Jurkiem również,

bo ilekroć usiłowałem wracać do ojczystego, widziałem wyraz najwyższego zdziwienia i dezaprobaty malujący się w oczach Mrs Corwinowej. Asystowała nam cały czas, wstając tylko raz, aby przynieść z kuchni paczkę krakersów. Gospodarz przyrządził z okazji tak wspaniałego spotkania „*dear old frienda*” long drinka — jak określił — „*very, very special*”, po czym starannie zakręcił parę otworzonych przy tej okazji butelek i odsunął na przywoitą odległość lśniący szkłem i niklem przejezdny barek na białych kulkach. Gdy już wygodnie siadłem przed białym marmurowym kominkiem ze szklanymi drzwiczkami, za którymi pulsowały fosforyzującym, niespokojnym światłem imitujące ogień białe świetlówki, mogłem skoncentrować uwagę na wnętrzu. Teraz dopiero dotarło do mnie dlaczego było jakieś dziwnie obce, niesympatyczne, odstręczające. Czynił to kolor. Szokujący zestaw bieli, białości i białego. Biały był telewizor i telefon, i klamki, skajowe fotele i kanapa, i syntetyczny puchaty dywan, i lśniąca niebiańska wręcz czystością podłoga, i regał, i ściany, i sufit, i drzwi, i okna, na którym stały jakieś białe figurki i zegar. Jednym słowem wszystko było białe. Białe piekło, biały czyściec i biały raj dla tych co go sobie stworzyli. Oboje, spodziewając się mego przyjścia też ubrali się na biało. W rzymskie tuniki, bo pani domu wzorem małżonka, a raczej to chyba on jej wzorem, bo nie było cienia wątpliwości kto rządził w tym stadle, uznawała tylko ten rodzaj odzieży. Poznali się w barze, który prowadziła na Spadina Avenue. Jurek, zdolny elektronik, który jeszcze na studiach coś opatentował, zakładał w nim instalację przeciw włamaniową. Było to w pierwszych latach jego pobytu w Kanadzie. Pracował fizycznie, uczył się języka, poznawał kraj i bez końca wysyłał swoje *curriculum vitae*. Przekroczywszy setkę nieudanych prób i odrzuconych ofert stracił nadzieję, że kiedykolwiek znajdzie pracę jako inżynier. Monic bardzo mu wtedy pomagała. W okresie gdy występowała na estradach tancerek Go Go zarówno *top* jak i *bottomless*, poznała wielu właścicieli nocnych, klubów, barów i restauracji. Polecała im usługi Jurka. Brała za to procent. Osobne budżety mają zresztą w dalszym ciągu. Jak to jest przyjęte w większości kanadyjskich rodzin. Tylko *mortgage* czyli dług hipoteczny płacą łącznie. Ten temat wypełniał większość czasu mojej wizyty. Nim gospodarze żyli naprawdę *Mortgage!* Jeśli nie zapłacą paru kolejnych rat to te wszystkie białości zmieniają właścicieli. Swego czasu pracował w Ontario Hydro. Wielkim państwowym przedsiębiorstwie energetycznym. Dostał się tam dzięki wybraniu właśnie jego z grona paru dziesiątków kandydatów i zaproszenie na indywidualne *interview* przez samego głównego *personell managera* Miał on także polskie nazwisko, pokazał mi swój herbowy sygnet z jakimś baranem. Był z niego bardzo dumny. Jurek jeszcze używał swojego nazwiska. Chyba mu to pomogło. Z Ontario Hydro rozstał się szybko. W prywatnych firmach, płacili o wiele lepiej. Oprowadzają mnie po całym domu, szczegółowo informując ile kosztowały poszczególne elementy wyposażenia i w jakim stopniu są zapłacone. Po kwadransie mam już absolutnie dość. Zadając pytanie jak najlepiej wyjechać w kierunku na Barri i Orille gdzie mieszka Casimir Gzowski IV. O tak, teraz sobie przypominam. Przecież tak się nazywał ten z Ontario Hydro. Po co ci on potrzebny? Jest już zapewne dawno na emeryturze. Co, robisz film dla Interpressu? To jesteś na komunistycznym paszporcie? Dlaczego mi od razu nie powiedziałeś? Byśmy z sobą nie rozmawiali!"

Rozległa aż po horyzont, nieznacznie pofalowaną równiną uprawnych pól, pokrywa lepki kożuch topniejącego śniegu. Koniec kwietnia. Przejmujący ziąb i wilgoć nie zapowiada, że zgodnie z prognozami synoptyków, za parę dni wybuchnie lato. Upalne, gorące, wybujałe świeżą zielonością bogactwem płodnej ziemi. Pancerna pięść lodowego podmuchu znad zatoki Hudson i Labradoru zmasakrowała wiosnę. W Kanadzie są tylko dwie pory roku: *June — Jule and Winter*. Musi się o tym pamiętać. Wnukowie i prawnukowie osadników, jacy przybyli w okolice jeziora Simcoe, ciężkim pocztowym furgonem po wyboistej Yonge ściskając w rękach węzełek z ubogim dobytkiem i siekierę, dysponują dziś kombajnami, parabolicznymi antenami telewizyjnymi, prywatnymi awionetkami. Na stale wszedł do kanadyjskiego pejzażu cylinder zwieńczony kulistą kopułą zbożowego silosa. Blaszane budownictwo wyrosłe z biedy i duchowego ubóstwa prymitywnych białych nędzarzy, dla których nie starczało chleba w rodzinnych krajach. Dziś ilość, wielkość i kubatura silosów są wizytówką gospodarności i bogactwa właścicieli. Dowodem, że krwawy trud poprzedników, odległych o parę pokoleń, owocuje. Że ciężką pracą wolni ludzie w wolnym kraju, zaczynając od zera, mając przeciwko sobie bezlitosną naturę, własną słabość i zacofanie, byli w stanie uzyskać tak obfite plony zbóż, że zbiory nie były w stanie pomieścić się w tradycyjnych stodołach i spichlerzach. Najbardziej pełną odmianę pszenicy, sprowadzono z Wielkopolski. Wnukowie bosych analfabetów z Galicji są dziś właścicielami wycenianych na miliony dolarów farm.

Przed Barri pola ustępują miejsca lasom i morenowym pagórkom. Plantacje cukrowego

klonu. Z tyłu za nami pozostaje urodzajny czarnoziem dawno już zmeliorowanych okolic Holland March. Zapleczka badylarskiej aglomeracji Toronto. Od czasu do czasu pomiędzy drzewami pobłyskuje tafla wody zatoki jeziora Simcoe. Omijając śródmieście skręcamy na wschód i po pokonaniu wielopoziomowego skrzyżowania szos nr 93, nr 26 i nr 11, pozostajemy wierni tej ostatniej. Po niecałych dwóch godzinach od opuszczenia Toronto — nieduże, tonące w zieleni miasteczko Orilla. Nie mamy czasu na odwiedzin wykopalisk archeologicznych na terenie pobliskiej wsi Cahiague. Zamieszkują ją potomkowie Indian z plemienia Huronów. Dotarł tu w 1615 r. roku Samuel Champlain, Francuz, założyciel Quebecu. Szukając najkrótszej drogi do Chin był pierwszym, który „odkrył” jeziora Nipissing, Simcoe i Huron.

Usiłując zlokalizować dom Casimira Gzowskiego IV bezskutecznie krążę po wysypanych zwiernym alejkach. Gdy zrezygnowany biorę w końcu za słuchawkę telefonu. na stacji benzynowej, jaki damski, niezbyt sympatyczny głos wysłuchawszy kim jesteśmy najpierw długo i bełkotliwie rozwodzi się, że ktoś tam okradł pomnik Sir Casimira w Toronto, i nareszcie oddaje słuchawkę panu domu. Ten jest znacznie uprzejmiejszy. Nieduży biały bungalow z dwuspadowym spłaszczonym dachem. Przed nim na mokrej po niedawnym deszczu trawie szaleje gromada nieletnich kowbojów. Właścicielka mrukliwego głosu mignawszy w drzwiach znika z pola widzenia. Pojawia się natomiast dość młoda, energiczna niewiasta, matka paru egzemplarzy z kowbojskiej watahy, jedyna córka pana Casimira. Gdzieś się spieszy, ale koniecznie chce usłyszeć od nas potwierdzenie, że jej przodek to był *count* - hrabia. Jest po rozwodzie, otwiera anticshop, sklep z wszelkiego rodzaju starociami. Informacją o arystokratycznym pochodzeniu właścicielki sklepu ma nadzieję przebić konkurencję.

Teraz dopiero mogę się przyjrzeć potomkowi Sir Casimira w najprostszej linii. Wysoki, lekko już przygarbiony, na oko siedemdziesięcioletni starzec jest bardzo podobny do pradziada, choć ma w żyłach zaledwie jedną ósmą jego krwi. Wyraźnie usiłuje zatuszować niezbyt uprzejme przyjęcie jakie zgotowała nam żona. Prowadzi do dużego, zastawionego różnymi meblami pokoju z dawno nie używanym kominkiem. „*Panowie zapewne chcieli obejrzeć świecznik?*” W pierwszej chwili nie bardzo wiem o czym do mnie mówi. Jaki świecznik? Całe szczęście, w ostatniej chwili ugryzłem się w język. Teraz dopiero dostrzegam stojącą na przykrytym obrusem owalnym stole historyczną pamiątkę. Bogato złożony sześcioramienny kandelabr zwieńczony srebrną sylwetką opartego na lancy ułana. Marmurowy czworograniasty cokół świecznika zajmuje orzeł z przetrąconymi skrzydłami i szeroko rozwartym w krzyku bezsilnej rozpaczki dziobem. Z czterech stron podstawy wygrawerowano nazwy miejscowości znanych z bitew Powstania Listopadowego. Tekst w języku angielskim i kartusz herbowy Junoszy. Nad nim pięciopalkowa korona z labrami. Kandelabr wykonał paryski brązownik. Pradziad zapłacił zań pieniędzmi jakie otrzymał na mocy legatu testamentowego Ludwika Michała hr. Paca, generała Powstania. Generał, pochodzący ze znanej rodziny, co to nie „pałac Paca ale Pac wart pałaca”, wojewoda i senator — niczego wielkiego na polach bitewnych nie dokonał. Zmarł 31 sierpnia 1835 roku w Smyrnie (w Turcji). Krótko przed śmiercią rozporządzając znaczną fortuną, zdecydował dwie piąte swego majątku przeznaczyć na wspomnienie tych spośród towarzyszy broni, którzy zmuszeni zostali do emigracji za ocean. Formalności związane z ustaleniem listy i adresów uprawnionych spadkobierców ciągnęły się blisko pół wieku. Ogłoszenia zawiadamiające o testamencie Paca ukazywały się w gazetach wychodzących w wielkich miastach obu Ameryk. Uprawnieni, których ostatecznie zostało 29 lub 26 otrzymali po około 1050 ówczesnych franków francuskich dopiero w roku 1879. Jednym z nielicznych obdarowanych legatem był Kazimierz Gzowski. Otrzymał go dzięki temu, że paryski notariusz odnalazł w archiwach austriackiego konsulatu w Nowym Jorku imienną listę deportowanych powstańców. Inżynier, wówczas już człowiek zamożny przeznaczył otrzymane pieniądze na sporządzenie ozdobnego kandelabru symbolizującego bohaterskie zmagania jego narodu z moskiewską nawałą. Gospodarz niechętnie zgadza się na ustawienie niezbędnych reflektorów, Gdy czereda kowbojów ujrzała kamerę, wpadła hurmem do domu, obsiadła kanapę, fotele, dywan i dawaj wypytywać nas, na którym kanale będą mogli się oglądać i kiedy. Nie dali się zbyć byle czym. Dziadek miał wyraźną słabość do wodzireja z perkatym mamusimym nosem. Zrezygnowany kiwając głową zgadzał się na wszystko. Kowbojom się nie spieszyło. Wolno sączą przez plastikowe słomki pepsi colę z metalowych puszek, poszturchają jeden drugiego, mierzą do nas z pistoletów, przeprowadzają szczegółową analizę zawartości podręcznej torby, gdzie trzymane są okrągłe hermetyczne zaklejane taśmą puszki z naświetloną taśmą. Jeśli któryś otworzy słowo dając, że dostanie po łapach — mruczy jej właściciel i groźnie najeża rozłożystą brodę. Pomruk musiał odnieść jakiś skutek, bo na chwilę czereda przycichła, naradza się szeptem i wysyła przedstawiciela do kuchni po coca colę.

Perkаты stawiając koło nas puszki uśmiecha się szelmowsko i z niewinną miną wyciąga z siebie fajansowy kubek z uszkiem doczepionym nie od strony zewnętrznej ale wewnętrznej. Żeby nie było cienia wątpliwości dla kogo jest przeznaczony wskazuje na niezgrabny kulfoniasty napis nałożony techniką ogniotrwałej kalkomanii POLISH CUP. Dziadek nie wie gdzie się schować z zażenowania. Bąka coś, że żona kupiła kubek w supermarkecie, bo wie, że on przechowuje polskie pamiątki. Malec nie daje za wygraną. Babcia nauczyła go całej serii *Polish jokes*. Kolejno wysłuchujemy ilu trzeba Polaków aby wkręcić żarówkę. Ile razy w życiu Polacy się myją. Kto się wspina w zimie na Mount Everest. O, i tu mieliśmy perkatego. Parę dni wcześniej w *Globe and Mail* był artykuł o niepowodzeniach kanadyjskich himalaistów z Calgary. Wycofali się po nieudanej próbie zaatakowania najwyższego szczytu Ziemi zimą. Dalej jest obszerne omówienie drogi jaką Polacy weszli na najwyższą górę ziemskiego globu. Ten akurat fragment gazety przypadkowo zachowałem. Proszę aby gospodarz go odczytał. O dziwo słuchają. Żeby nie wyjść z uderzenia, jak tylko skończył, zadają już od siebie pytanie, czy wiedzą dlaczego dowódca zdalnie sterowanego supernowoczesnego czołgu-zabawki MOBATO, o jakim każdy z nich marzy aby go dostać na gwiazdkę, nazywa się Ralph Pułaski. Sam go kupiłem swojemu Jasiowi i spędziwszy całe popołudnie na, wstyd powiedzieć, operowaniu wojennym sprzętem zanim zapakowałem do paczki wysyłanej do kraju, zapamiętałem imię dowódcy wydrukowane na dołączonej instrukcji obsługi. Konkurent perkatego do przywództwa w grupie miał właśnie taki czołg. Popędził do sąsiedniego pokoju aby sprawdzić. Głośno obwieszcza, że zgadza się. Leci więc prelekcja o Pułaskim, Zawiszy Czarnym i kościuszkowskich kosynierach. Razem wychodzimy na dwór aby przećwiczyć ósemkowy takt kos ścinających łby rosyjskim kozakom. Dziadek rozkrochmalił się zupełnie. Wyciąga stare zdjęcia, rodzinne albumy, po kryjomu przed żoną zbierane wycinki prasowe o sławnym protoplascie. Kamera pracowała bez przerwy. Gdy późnym popołudniem ładujemy do bagażnika nasz filmowy sprzęt czujemy, że zrobiliśmy dobrą robotę.

W czerwcu 1986 r. otrzymałem list: *Szanowny Panie, Jestem zadowolony słysząc, że film, jaki pan zrobił o Sir Casimir był sukcesem. Fragmentów pamiątek po Sir Casimir jest niewiele i bardzo rozproszone. Jednakowoż mogę sprzedać kandelabry za cenę 15 000 dolarów kanadyjskich plus 7 procent podatku prowincji Ontario. Tak na marginesie to kandelabr może być umieszczony w drewnianym pudle specjalnie dlań przeznaczonym. Pudło ma uchwyty do przenoszenia. Jeśli pan jest zainteresowany, proszę dać mi znać. Casimir Gzowski.* Nie miałem 16 050 dolarów kanadyjskich bo tyle razem z podatkiem miał kosztować kandelabr. W Kanadzie nikt by go za tę cenę nie kupił.

Peter Gzowski pradziadka niezbyt przypominał. Tylko w oprawie jego oczu zachowały się pewne ślady rodzinnego podobieństwa. Słusznego wzrostu, barczysty, z ciemną mocno posrebrzoną czupryną, przekroczył smugę cienia wieku męskiego. Mieszkał sam z 23-letnią córką Alice w dużym nieco zagraconym domu.. Do radiowego studio w odległym o około 60 kilometrów Toronto udawał się raz czy dwa razy na tydzień. Właśnie skończył pisać książkę *An unbroken line*. Opowieść o największej pasji życia i najstarszej miłości. Do... koni. Przetłumaczona na język polski niewielu miałaby czytelników. Zawierała zbyt wiele fachowego żargonu, Niedostępnych dla niewtajemniczonych w niuanse sekretów końskich kopyt, hermetycznej wiedzy o sprawach i sprawkach właścicieli startujących w gonitwach wierzchowców. Opisów machinacji finansowych bukmacherów, fascynacji ciężką forszą jaką można na wyścigach kłusaków, folblutów, coltów zrobić lub stracić: „Szejk Nohammed Sin Rashid Al Maktoum ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich — minister obrony Dubai, zapłacił za Północnego Tancerza bez zmruczenia oka 10,2 mln dolarów”. Petrodolarowa inwestycja zwróciła się prędzej niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Nagromadzenie szczegółów, danych, anegdot bez jasno zarysowanej koncepcji, czego nie omieszkał wytknąć recenzent na łamach „The Gazette” pisząc o „*finally disappointing book*” Najlepsze fragmenty książki mówią o samym autorze, jego rodzinie, sławnym antenacie. Tytuł miał przekonywać czytelnika, że fascynacja końmi ma w rodzinie Gzowskich długą tradycję i tym samym podnieść zapewne rangę publikacji. Luksusowo wydana ze zdjęciem Petera na obwolucie kosztowała 19,95 dolara. Powodzenie miała raczej umiarkowane. Już po paru miesiącach można ją było kupić o 15 dolarów taniej.

W 1881 roku towarzyska elita Toronto prezesem ekskluzywnego Ontario Jockey Club wybrała wysokiego inżyniera ciągle jeszcze mówiącego z polskim akcentem. Jego ekwipaż zaprzężony w cztery starannie dobrane siwki uchodził za najelegantszy, a w tonącej w zieleni rezydencji przy ulicy Bathurst, z dala od zgiełkliwego gwaru śródmieścia bywała cała śmietanka

stołecznego wówczas grodu. Rozległe salony wypełniały dzieła sztuki, liczne obrazy dobrych, europejskich malarzy, odlane w brązie kopie antycznych rzeźb, doskonale wytresowana, ubrana w liberie służba. Szeroki gest i nietuzinkowe zainteresowania gospodarza. Rzekomo zatrudniał cerberów do odganiania namolnych żebrzących nędzarzy. Być może byli wśród nich i współrodacy, zwabieni znajomym brzmieniem nazwiska. Z podziwu godną konsekwencją część dziejopisów dziewiętnastowiecznej emigracji Polaków do Kanady rozgłasza niezbyt pochlebne opinie o tym „lutrze”. Ich zdaniem nie zasługiwał na życzliwe wspomnienie. Prawdziwy Polak to przecież obowiązkowo katolik. Ogłupiały od pracy w fabrykach i fermach należących do tych, co w domu mówią po angielsku, niemiecku czy w idisz, Żyjący w nędznych, brudnych slumsach, niewykształcony, biedny, wyzyskiwany i oszukiwany przez obcych. Casimir Gzowski wyłamał się z stereotypu. Tego bardzo wielu nie mogło mu darować. W kronikach Toronto odnotowano, że w dniu 24 maja 1883 roku ówczesny gubernator generalny Dominium Kanady markiz Lorie z żoną księżniczką Luisą — a więc zięć i córka królowej Wiktorii. zaszczylili swą obecnością rozgrywane w dniu urodzin królowej na torze Woodbine wyścigi konne. Książęcą parę podejmował osobiście i udzielił jej gościnny w swoim domu sam Sir Casimir Gzowski.

Wyścigi o Queens Plate srebrną patere, ufundowaną w imieniu Królowej Wiktorii przez Sir Casimira Gzowskiego, są do dziś najstarszą nagrodą sportową Ameryki Północnej. Rozgrywane są na torze w Woodbine. W 1985 roku zaszczyliła je brytyjska królowa matka wraz z premierem Kanady. Schyłek kariery zawodowej jednego z najpopularniejszych swego czasu kanadyjskich dziennikarzy radiowych był gorzki. Przez lata, poczynając od 1971 roku, robił furorę na antenie CBC jego program *This Country in the Morning*. Codziennie przez trzy godziny. Słuchała go cała Kanada. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Rozmowy z popularnymi politykami, rozważania na temat notowań cen pszenicy na światowej giełdzie w Winnipegu, kłopoty zwykłych ludzi, muzykę w stylu *old blues*, recytacje poezji Earla Birney'a, sport, dowcipne komentarze do aktualnych wydarzeń, plotki z życia filmowych gwiazd, kryminałki. Podobało się to wszystkim. Gospodyniom domowym, ojcom rodzin zmierzającym rano do pracy, młodzieży. Programistka komputerów z Lavalu, kierowca z Wyspy Księcia Edwarda, inżynier z Chicoutimi, marynarze z promu z Prince Rupert, czy strażnik Parku Narodowego Jasper znali jego nazwisko. Nie wiedzieli, że był jeszcze ktoś inny kto je nosił. W małej prowincjonalnej dziurze, w której się zaszył kupując niezbyt dużą farmę — imię Gzowskiego też nosiła jedna z ulic. Nikt z mieszkańców nie ma cienia wątpliwości, że chodzi tu o mnie — śmieje się Peter. Nie zamierzam tego korygować. I tak by nie uwierzyli.

Urodził się z piórem w ręku. Już jako kilkunastolatek zasłużył na pseudonim Boy Wonder. Mając lat dwadzieścia zapełniał w Moose Jaw lokalny dziennik swymi artykułami. Trzy lata później wydawał w Chatham nad Jeziorem Św. Klary „Daily News”. Pradziadek ongiś dzierżawił tam teren łowiecki, trzymał psiarnie i urządzał polowania z sokołami. Następnie był start w telewizyjnym programie 90 Minutes Live. Czując się najlepiej w dżinsach został zmuszony do poddania się długotrwałemu makijażowi, starannego przycięcia włosów i włożenia eleganckiego garnituru. Zarabiał 75 000 dolarów rocznie. W 1977 r. na dobre pożegnał telewizję. Następne lata był autorem stałego felietonu w „Toronto Star” oraz horroru o katastrofie małego samolotu nad północną tajgą Saskatchewan. Pasażerowie aby przeżyć musieli...Każdy wie co. Parę lat wcześniej środki masowego przekazu na całym świecie obieły wstrząsające relacje z peruwiańskich Andów. Ocalałym pasażerom pasażerskiego samolotu biskup Limy dał wówczas rozgrzeszenie, mimo, że z głodu zjedli bliźnich. Książka *The Game of Our Lives* — kronika jednego sezonu hokejowej drużyny Oilers z Edmonton — natomiast stała się bestsellerem. Hokejem żyją mieszkańcy kraju klonowego liścia od pokoleń. Na liście najlepiej sprzedawanych utrzymywała się przez wiele tygodni. W 1982 r. wraca na antenę w programie CBS Morningsonde rozpoczynającym się codziennie o 5<sup>30</sup> rano i trwającym aż do godziny 11 przed południem. Szybko się nim znuży. Co będzie robił później? *All my life that same question, what I can do now?*” (przez całe życie to samo pytanie co robić dalej).. Ciągłe poszukiwanie, drażny, niczego nie jest pewien, z niczego nie jest zadowolony. Czuje się Kanadyjczykiem z krwi i kości, a jednocześnie ciekaw jest czy rzeczywiście ten „prapra” to był ktoś w kraju przodków. Hrabia? Baron? Czy są w Polsce stare zamki i pałace ozdobione herbowymi kartuszami Junoszy, herbu wyróżnionego w krwawniku noszonego przezeń pierścienia? Sprawiam mu zawód. Gzowscy mazowiecka szlachta nazwisko wzięli od wsi Gzy. Nie znałem innego poza *fly* określenia gza — w języku angielskim, a *fly* to wszelkie latające, kłujące i gryzące paskudztwo od much poczynając. Gospodarz wyraźnie nabrał dystansu i spogląda na zegarek. Niezręczną sytuację przerywa telefon. Rozmawia z kimś, kto właśnie przylatuje, do Toronto na lotnisko. Wypada się żegnać. O nie, teraz panów nie puszcza,



musicie poznać jeszcze jednego Gzowskiego. Z innej gałęzi. Pani Mary z Montrealu którą poznaliśmy przy innej okazji wie lepiej kto kogo i kiedy rodził. Wayne jest jej bratankiem. Mieszka na dalekiej północy w Yellowknife. Wybitny spec od nurkowania pod lodem. Na dnie oceanu wynajduje cmentarzyska morsów, zbiera ich kły. Robi też trochę zdjęć. Pokażnych rozmiarów karton ze zdjęciami łąduje na stole pomiędzy kieliszkami z winem, które już zdążyliśmy osuszyć. Czekając na przyjazd Wayne oglądamy dom, który ten pierwszy Gzowski wybudował w Rockwood. Masywna, kamienna budowla. Nie podobna do tych w okolicy. Doskonale wpasowana w zboczu wzgórza, osłonięta od wiatru.. Zaprojektowano ją z rozmachem, zachowując dbałość o każdy detal, proporcję, jakość wykonania. Solidność kamieniarskiego rzemiosła przypomina konstrukcję filarów i przypór mostowych. Budynek trafił do albumu z najciekawszymi przykładami starej architektury. Autor albumu nazwiska budowniczego nie znał. Oczekując na powrót gospodarza z lotniska tłumaczę listy jakie otrzymał po bytności w Polsce. Z okazji nadania szkole w Opolu imienia Gzowskiego pisała o tym „Panorama”. Listy były różne. Pisane wyrobionym charakterem z nienaganną ortografią i koszmarnymi kulfonami. Zawierały w zasadzie tylko jedno. Żałosne, żenujące żebractwo. Czas najwyższy, aby redaktorzy wydania *Who is Who*, nie wstając od biurka wzięli się za opracowywanie Księgi Żebractwa Polskiego. Od razu w paru tomach. Materiałów źródłowych dostarczą na pewno obszerne wykazy odbiorców darów z parafialnych krucht i nadawcy listów wysyłanych do bliższych i dalszych krewnych za oceanem, i często do zupełnie obcych ludzi, którzy „muszą”, wałkoniom, pijakom i leniom pomagać tylko dlatego, że raczyli się urodzić.

Powitanie z Wayne było krótkie. *Hello* i uścisk dłoni. Potężna klatka piersiowa gracza w rugby. Wysokie czoło. Szczere spojrzenie jasnych oczu. Człowiek, który odbiera tajemnice podwodnemu światu ukrytemu pod lodową skorupą, rozmowny nie był. Jego dziad, wnuk Sir Casimira, również nosiciel rodowych imion, należał do najwybitniejszych kanadyjskich budowniczych kolei. będąc głównym inżynierem towarzystwa Canadian National Railway. Miał swój udział w budowie słynnego spiralnego tunelu w Górach Skalistych poniżej przełęczy Kicking Horse Pass i zbudowanie w 1932 roku linii kolejowej do Churchill nad Hudson Bay. Wayne dziadka nie pamięta. Urodził się rok po jego śmierci. Po matce, z domu Batten, jest na wpół Niemcem. Nurkować zaczął w wojsku. Najbardziej pokochał północ. Jest właścicielem niezłe prosperującej Arctic Divers Ltd. Z naciskiem podkreśla, że najwyższe potencjalne możliwości rozwoju rybołówstwa i przemysłu rybnego są na wodach Arktyki. Jego firma może podjąć się zbadania podwodnych zasobów. Przy biesiadnym stole, po paru szklanicach grzanego wina, do którego słabość odziedziczył chyba po germańskich przodkach, otwiera się. „Nie macie pojęcia — mówi — jakie to fantastyczne uczucie, gdy po pokonaniu za kierownicą wielu mil śnieżnej pustyni można wykuć otwór w lodzie i opuścić świat bieli, aby znaleźć się w zielonym rajskim ogrodzie morskiego dna.”

Praktykę zdobywał karkołomną metodą prób i błędów. Dużo zawdzięcza pierwotnym mieszkańcom Arktyki. Nauczył się nieco języka Eskimosów, poznał ich zwyczaje. Nigdy nie schodzi pod wodę, gdy krajowcy mu to odradzają. Od lat ma stałego partnera. Pracując w zanurzeniu rozumieją się bez słów. Pamięta, jak na początku wspólnej kariery, gdy nie mieli jeszcze sprzętu do podwodnej telekomunikacji, zamarzył mu zawór na wężu doprowadzającym powietrze do oddychania. Nad głową blisko 30 metrów wody i półtorametrowej grubości warstwa lodu. Zostało kilkadziesiąt sekund świadomości. Parę minut życia. I wówczas, pracujący w pewnym oddaleniu partner — nie wzywany, bo jak — jakby kierowany szóstym zmysłem, podał mu swój sprawnie działający wąż. Razem, po bratersku dzieląc się odmierzoną sekundami możliwością oddychania, odnaleźli wykuty w lodowej tafli otwór.

Prace najlepiej prowadzić jest zimą. Morze pod lodową skorupą jest spokojne, przejrzyste. Bezpośrednio nad miejscem nurkowania można rozpiąć namiot z generatorem zasilającym źródło światła. Pozwala to na dobrą widoczność nawet do stu metrów. Duże trudności, nastęrczało wykucie w grubym lodzie otworu o odpowiedniej średnicy. Parę lasek dynamitu czy solidny ładunek prochu nie rozwiązywały problemu. Spoczywający na powierzchni wody, żeby nie wiadomo jak gruby, lód jest elastyczny. Pokruszony, w niskiej temperaturze zestala się prawie natychmiast. Wprowadzenie spalinowych ślimakowych wiertel o dużej średnicy i traktorów wyposażonych w pionowe piły, łańcuchowe, zlikwidowało problem.

Zakres usług Arctic Divers Ltd. jest szeroki. Od podwodnego spawania i cięcia tlenem, inspekcyjnego badania spoin podwodnych rurciągów i stalowych konstrukcji naftowych wież, po instalowanie kamer telewizyjnych, trudne na znacznych głębokościach roboty minerskie i górnicze, udział w prowadzeniu prac badawczych i naukowych oraz fotografia.

Tej pasji Wayne oddaje się szczerze. Zdjęć na powierzchni ziemi a raczej ponad lodem bo, całe Terytorium Północno-Zachodnie o powierzchni 11 razy większej od Polski, to „tylko lód i zima” — jest raczej niewiele. Stalowy kontener na płozach z zawieszonymi dla helikoptera o dużym udźwigu, żółte niemilosierne poobijane sanie motorowe i pustka. Aż po kraj horyzontu białe, gładkie śnieżne pola. Czyjaś ręka zaznaczyła prawie niewidoczne wydrążenie w lodzie parę metrów od drzwi kontenera długopisem DIVE HOLE. Przerębel.

Tędy udaje się do pracy. Jak na razie majątku nie zrobił. Sprzęt jest bardzo drogi. Jeszcze więcej kosztują ubezpieczenia. Arktyczni nurkowie i tak nie żyją długo. Najciekawsze zadania: W 1973 roku Wydział Przemysłu i Rozwoju prowincjonalnego rządu NWT zlecił przeprowadzenie badań dna morskiego w rejonie Ziemi Baffina, zebranie próbek minerałów fauny i flory oraz wykonanie serii zdjęć dokumentalnych. Podróżowali na ośmiometrowej długości kanoe z eskimoskimi myśliwymi jako przewodnikami. Sam sprzęt i ekwipunek do nurkowania ważył blisko tonę. Wówczas po raz pierwszy natknęli się pod wodą na narwale — *Mowodon monoceros*, ssaki morskie — z rzędu waleni (*cetacene*). Żyją w morzach arktycznych, łowione dla mięsa, tranu i zębów używanych na wyroby ozdobne (samiec ma jeden olbrzymi kieł o długości do 3 m, wyrastający ku przodowi z lewej strony górnej szczęki. Kły przynoszą zgubę. W Yellowknife do niedawna płacono sto dolarów za stopę długości kła. Dla mieszkańców dalekiej północy to fortuna. Spotkanie z narwalami zapamiętał na zawsze. Długo krążyły wokół nurka zaciekawione dwunożnym stworem tak niezgrabnie poruszającym się pod wodą. Wcale nie było takie oczywiste kto i przez kogo jest tu obserwowany. Bezpośrednio przed przylotem brał udział w trudnej operacji przedłużenia podwodnego rurociągu w rejonie Little Cornwakis Island, około stu kilkunastu kilometrów w kierunku północno-wschodnim od bieguna magnetycznego. Rurociąg należał do kopalni złota koncernu Cominco. Wodę z hydro-monitorów, zanieczyszczoną zawiesiną różnych minerałów, i osady poflotacyjne transportowano nim do bezodpływowego Jeziora Garreta. Wylot rurociągu należało usadowić parę metrów nad dnem, możliwie daleko od brzegu. W ten sposób zapobiegano zanieczyszczeniu pobliskiego Oceanu Arktycznego i zwiększono wydajność kopalni. W jeziorze Garreta do listy zagrożeń czyhających na polarnego nurka doszedł siarkowódór, który otulał dno wielometrowej grubości opalizującą warstwą o konsystencji gęstego syropu. Im głębiej, tym miał większe stężenie. Dla najbardziej doświadczonego nurka dysponującego najlepszym sprzętem dłuższe przebywanie na dnie takiego zbiornika jest zagrożeniem życia. Może powodować nieodwracalne w skutkach zatrucie i trwałe uszkodzenie kory mózgowej. Rok przed naszym spotkaniem setki nurków szukało w rejonie morza Barentsa zgubionej przez amerykański bombowiec rakiety. Całe chmary facetów latały po lodowych polach z licznikami Geigera. Zarobił wtedy premię. Znalazł stalowy cylinder. Obaj z Peterem nie darzą sympatią południowych sąsiadów. Korzystając z braku dam w towarzystwie, gospodarz pozwala sobie na dosadne męskie określenia. Sukinsyny należą do najłagodniejszych. Trują nas. Nie ma kwartału żeby z południa nie napłynęła jakaś chmura, po której pada kolorowy śnieg lub kwaskowaty deszcz. W jeziorze Erie, które kiedyś było kryształowo czyste, można wywoływać filmy. W rzece Niagara trafiono na ślady TCDD - tetrachlorodi-benzodioxinu, trucizny wyjątkowo silnej.

Parę miesięcy później nadzorowałem próbę ciśnieniową gazociągu Boisbriand-Montreal. Projektanci zaplanowali podwieszenie go pod mostem nad odgałęzieniem rzeki św. Wawrzyńca. Miał blisko 700 metrów długości. Biegło po nim wiele pasów ruchu w każdą stronę autostrady zmierzającej do granicy ze Stanami Zjednoczonymi. W porze popołudniowej obu jezdniami sunęła lawina pojazdów. Betonowa płyta mostu lekko wibrowała. W rurociąg napompowano wody. Zwielokrotniła jego wagę. Nie zgodzono się na ograniczenie ruchu pojazdów.

I stało się. Kilkuset metrowej długości stalowy wąż przeszło metrowej średnicy spadł na lód. Nie utrzymał go nawet przez ułamek sekundy. Znajdowałem się tam gdzie być powinienem. Pod rurą. Mam ją do dzisiaj w oczach. Było to 19 marca. Gdy lądowałem w wodzie jakimś cudem uchwyciłem duży kawał rozkruszonego lodu. Wpełzłem na niego. Zsunąłem się prawie natychmiast. Powtórzyłem operację. To samo, ale leżąc na płask utrzymałem się już nieco dłużej. Za którymś razem złapałem chwiejną równowagę. Pracowałem głównie nogami i brzuchem przerabiając przyspieszony kurs prawa Archimedes. Po kwadransie zjawiał się helikopter. Zawisł nad mostem. Ja niestety byłem pod mostem. Z wrażenia znowu musiałem przerabiać kolejne ćwiczenia wspomnianego prawa. Aż któryś ze stojących na brzegu robotników zaryzykował. Wziął aluminiową drabinkę i poszedł wraz z kolegą po na wpół zanurzonej rurze w moim kierunku. Widziałem jak lodowa kipiela zalewała ich stopy, łydki, kolana. Gdy już byli blisko wyciągnęli przed siebie drabinę. Starczyło. Złapałem

się jej kurczowo. Szarpnęli do siebie. Za mocno. Ten drugi stracił równowagę. Nie wydając głosu zniknął. Pokruszone kawałki lodu zamknęły się nad nim natychmiast. Ciało nie wyłowiono. Zdjęcie miejsca katastrofy które zrobiłem w następnym tygodniu towarzyszyć będzie temu, który się wówczas urodził po raz drugi przez całą resztę życia. Mam je właśnie przed sobą.

Białe niedźwiedzie wędrujące w poszukiwaniu stad fok nie przeszkadzają nurkom w pracy. Należy tylko strzec przed nimi magazyny żywności i śmietniki. W przeciwieństwie do brunatnych pobratymców, których w samym tylko Ontario rocznie myśliwi odstrzelują przeszło pięć tysięcy sztuk, białe są pod ochroną. Chyba, że spoufalają się zbyt. Wtedy mogą być groźne. W Yellowknife ustalono, że o ile po raz pierwszy taki intruz zostanie schwytany na złodziejstwie, to maluje mu się uszy zieloną farbą. Recydywista otrzymuje czerwoną gwiazdę na czole. Obu operacjom towarzyszy bolesny zastrzyk środka obojętniającego. Za trzecim razem przemawia już tylko Winchester kaliber 30-06. Polskiemu pipelinerowi pozwolono w imię zacieśnienia przyjaźni rozzuchwalonego misia wyeliminować Celować należało prosto w czerwoną gwiazdę.

Dużego formatu kserokopia drzewa genealogicznego potomków Sir Casimira, robiła wrażenie. W dole arkusza odbitka pięciocentowego znaczka pocztowego z wizerunkiem antenata wydanego w stulecie jego urodzin i herb Junosza oraz objaśnienie symboli jakie figurują przy imionach i nazwiskach osób wpisanych w prostokąty (mężczyźni) lub koła (kobiety). Wayne miał indeks cyfrowy 58, Peter 51. Dzieci obu są już piątym pokoleniem Są spowinowaceni z Wiliamem Lyonem Mackenzie parokrotnym premierem Dominium Kanady.

W innej gałęzi rodu potomkowie Sir Casimira obrali karierę naukową. Casimir Charles Lindsey zrobił doktorat z ichtiologii, a urodzony w 1920 roku George Roy Gzowski Lindsey, służąc w Royal Canadian Artillery w czasie II wojny Światowej, został zatrudniony w zakładach badawczych wzbogacenia uranu w Chalk River. W czasie wojny przyjaźnił się z ciotecznym bratem, Normanem Glyn Gzowskim pilotem zestrzelonym w czasie Bitwy o Anglię. Wybitnie zdolny fizyk zainteresowanie radarem zamienił na badanie tajemnic energii jądrowej i zdając konkursowe egzaminy otrzymał rządowe stypendium na studia w Cavendish Laboratory, z którego wyszło wielu laureatów Nobla. W wieku lat 46 dr George R. Gzowski Lindsey został naczelnym dyrektorem badań operacyjnych Kanadyjskiego Sztabu Generalnego. Dalej awansował już szybko. Dotrzeć do niego było trudno. Adresów generałów NATO, odpowiedzialnych za postęp w dziedzinie badań nad bronią jądrową nie uzyskuje się łatwo nawet jeśli przeszli już na emeryturę. Mozaika obcych nazwisk, Cape, Legg, Bogrell, Douglass-Home, Stracer-Smith, Oxley, Warwick, Finlayson, Ogilvie, obywateli Kanady, Stanów Zjednoczonych, Szwajcarii, Anglii, Indii, szkockich arystokratów i zupełnie zwykłych urzędników, właścicieli fabryk, udziałowców wielkich koncernów i z trudem wiążących koniec z końcem ubogich emerytów. Mają w sobie jedną ósmą, jedną szesnastą, jedną trzydziestą drugą, jedną sześćdziesiątą czwartą polskiej krwi. Ludzie zupełnie obcy nam i sobie nawzajem. Czy w chwilach dramatycznych wyborów, przełomów, opcji ten znikomy procent zadecyduje, czy weźmie górę nad interesem własnej rodziny, kraju, którego są obywatelami? Naiwne, retoryczne pytanie. Może tylko przy kolejnej zbiórce darów dla tych „biednych Polaków” jakie miały miejsce za oceanem wyrzucili z kąta szafy nieco mniej przeпоconą marynarkę. Rozstaliśmy się z kuzynami Gzowskimi mocnym uściskiem dłoni. Na odjeźdźnym gospodarza ruszyło sumienie. Udostępnił telefon do swojej ex-żony w Toronto. W domu zostało dużo pamiątek po Sir Casimirze: szabla, którą otrzymał w darze od królowej Wiktorii i biurko z czarnego dębu. Kłodę wyłowiono z Niagary w czasie budowy International Bridge. *Używałem go przez wiele lat. Na nim stała moja maszyna do pisania. Teraz okupuje je Michael Sobieski wraz z komputerem, który kupiłem mu na szesnaste urodziny.* Następnego dnia z pewną treścią przyciskam dzwonek furtki eleganckiej willi. Wita nas elegancka pani ze śladami jeszcze niezupełnie minionej urody. Niezbyt porządnie, i nie najczyściej jak na kanadyjski standard. Słysząc liczne młode głosy, Hałaśliwy jazgot najnowszych przebojów, trzaskanie drzwi. Kawę podaje dziewczę z pięknymi blond warkoczami i rewelacyjnym biustem. Ubrać taką w krakowski strój i mamy operową Halkę. Trudno mi oderwać oczy od twarzy dziewczyny, do której matka zwraca się zdrobniałym imieniem Raje. Oglądam szczątki kolekcji obrazów należącej ongiś do Sir Casimira. W zachowanym wykazie z końca wieku najwięcej płócien nosiło sygnatury Krieghofa. W ten sposób malarz spłacał dług wdzięczności wobec człowieka, który przez wiele lat był jego mecenasem. Dziś obrazy Krieghofa są ozdobą każdej galerii w Ameryce Północnej. Nie jestem w stanie uważnie słuchać tego, co mówi pani Jeanette. Po

dziewiętnastu latach pożycia z Peterem jeszcze niezupełnie pozbyła się wszystkich emocji wobec ojca swoich pięciorga dzieci. Prędzej chyba darowałaby mu, gdyby tak po prostu znalazł sobie inną. On zaś jak borsuk uciekł do tego Rockwood. Chętnie przystaję na propozycję wypicia następnej kawy. Przynosi ją ta sama córka. I naraz olśnienie. Ależ to żywa kopia Olgi Władymirowny Gzowskiej, Przekaz genetyczny w tej rodzinie jest rzeczywiście wyjątkowo silny. Jan Sienkiewicz, dziennikarz wileńskiego „Czerwonego Sztandaru” prowadzący swego czasu na moją prośbę poszukiwania Gzowskich żyjących w Związku Sowieckim, zebrał garść informacji o tej wybitnej aktorce. Była uczennicą Stanisławskiego. Żyła w latach 1883-1962. Nigdy nie udawały się jej role kobiet rosyjskich. Doskonała natomiast była w rolach Włoszek, Francuzek, Hiszpanek, Polek (jako Maryna Mniszkówna u Ostrowskiego). Krytycy pisali o niej: „Aktorka od stóp do głów. Żadna sławy. Chciała mieć wszystko od razu: owacje zachwyty, prasę”. „Wielka artystka a jednocześnie aktywna uczestniczka zakulisowych intryg.” „Nigdy nie była w odwrocie. Ciągłe walczyła, z kimś polemizowała, kogoś niszczyła.” Jej wzlot na początku kariery przypominał fajerwerk, zgasł po 15 latach. Krotko miała być muzą Ojca Narodów. W 1920 roku, razem z mężem Gajdarowem, znanym aktorem filmowym wyjechała za granicę. Podróżowali po całej Europie. Występowała w Wilnie, Łodzi, Białymstoku, Kownie, Warszawie. Nie zrezygnowała z obywatelstwa rosyjskiego. W początkach lat trzydziestych oboje wrócili do ZSRR. Do legendy przeszło wydarzenie z okresu, gdy jeszcze jako początkująca aktorka, nie mogła wejść w rolę kobiety ulegającej atakowi hysterii. Była bliska załamania. Kolejna próba odbywała się w obecności Stanisławskiego. Ten widząc tremę aktorki, wyszedł na scenę i... dał jej w buzię. Na premierze wystarczyło, że przypomniała sobie tamten epizod. Atak hysterii wypadł absolutnie przekonująco. Inicjatorem i głównym sponsorem budowy pomnika Sir Casimira Gzowskiego w Toronto był urodzony w Otwocku gorący polski patriota i Żyd jednocześnie inżynier Przygoda. Polonia kanadyjska miała węża w kieszeni. Peter pozwolił sobie zrobić zdjęcie, w czasie ceremonii zawieszania portretu Sir Casimira w poczcie byłych gubernatorów prowincji Ontario. Wiedział jak się można posłużyć rodowym nazwiskiem. Dobre publicity jest wartością samą w sobie. Sławny antenat przemawiając przy jakiejś okazji do większego gremium Polonusów rzucił im w twarz. „Jeśli dożyjecie, zobaczycie, kim będą wasze wnuki i prawnuki i który będzie jeszcze znał język polski.”. Mało go nie wygwizdano.

#### **Witold Stanisław Michałowski**

Pisarz, podróżnik, niezależny publicysta, inżynier pracujący przez wiele lat w Kanadzie przy budowie rurociągów, b. doradca Sejmowej Komisji Gospodarki, b. Pełnomocnik Ministra Ochrony Środowiska ZNiL ds. Międzynarodowego Rezerwatu Biosfery Karpat Wschodnich; p.o. Prezes Polskiego Stowarzyszenia Budowniczych Rurociągów; członek Polskiego Komitetu FSNT NOT ds. Gospodarki Energetycznej; Redaktor Naczelny Kwartalnika "Rurociągi". Globtrotter wyróżniony (wraz z P. Malczewskim) w "Kolosach 2000" za dotarcie do kraju Urianchajskiego w środkowej Azji i powtórzenie trasy wyprawy Ossendowskiego. Warto też odnotować, że W.S.M. w roku 1959 na Politechnice Warszawskiej założył Koło Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli. [Więcej informacji o autorze](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 30-01-2007 Ostatnia zmiana: 11-02-2007)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5242) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5242>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym,

w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)